



ALEKSANDR LUBINSKIJ

Strefa chroniona

Za ulicą Nevi'im, w uliczkach wijących się wokół etiopskiego kościoła, panuje cisza. W przejrzystym świetle stoją domy, na oścież otwarte są drzwi zielonych balkonów... W kamiennej pustce wyraźnie słyhać każdy krok. Śpieszący obok ludzie w czarnych chałatach rzucają w twarz obcego ostre, przesywające spojrzenia. Z sąsiedniej ulicy, gwałtownie opadającej w kierunku Starego Miasta, widać minarety, kościoły i ciągnące się aż po horyzont góry. Powietrze jest tak przeźroczyste, że dostrzegasz, gdzie — tam, za przełęczą — zaczyna się Pustynia Judzka z szarymi bryłkami domów arabskiej wioski. Obok słynnego w całej Jerozolimie niepozornego jemeńskiego baru z falafelami zebrał się tłum, kłębią się podekscytowani turyści, a grupka arabskich uczniów, która nagle wyłoniła się z bramy, z niepokojąco wyzywającym śmiechem biegnie do swojego do domu na ulicy Sułtana Sulejmana. Pamiętam, jak po kolejnym dniu, splamionym nienawiścią i krwią, uciekał tędy młody Arab, zatrzymywał się, przerażony zerkał to na prawo, to na lewo. Ścigało go dwóch mężczyzn w dzierganych kipach. Arab biegł, upadł, wstał i, utykając, uciekał dalej. Ci dwaj trochę przyspieszyli... Pamiętam, jak w pobliżu etiopskiego kościoła gorące powietrze drżało od płomieni pożarów, a gorzki, cuchnący zapach palonej gumy unosił się do nieba — wściekle niebieskiego, nieznośnie lśniącego blaskiem słońca.

Przejdź się po Ben Jehuda, napij się piwa, przekartkuj pożółkłe, trącące stęchlizną strony książki jakiegoś Anglika, który przebywał tutaj pół wieku temu, odwiedzając te pustynne miejsca w drodze do Damaszku i Stambułu. A co też ma w tym miejscu robić cywilizowany człowiek — pośród brudnych, śmierdzących ulic, gdzie handlarze wypełniają powietrze gardłowymi okrzykami; między bu-

łakami z wodą i wiązkami chrustu, sprzedawanymi na każdym rogu, osłami obładowanymi ogórkami i wychudzonymi chłopcami, którzy wciąż płaczą się pod nogami... Tutaj trwa wielka budowa — pisze Anglik. Arabska siła robocza jest tania, więc nietrudno nająć dowolnego z tych dzikusów. Jeden po drugim powstają nowoczesne domy. Nawet hotel jest już prawie wybudowany. „Król Dawid”.

...Właściciel tej kawiarni zawsze stoi przy wejściu. W czapce amerykańskiego playboya na głowie, której długi daszek chroni go przed słońcem. Trwa bez ruchu, z rękami założonymi za plecami, nieco pochylony do przodu i patrzy na snujący się tłum. Z lekka uśmiecha się spod rudych wąsów, a pod wpływem tego hipnotycznego spojrzenia niejeden turysta zbacza z trasy i wpada w jego drapieżne łapy. Od gry jazz-bandu i goryczki jasnego piwa z lekka wiruje w głowie, i zza rudych wąsów ogromnego kota w amerykańskiej czapce już nie widać miasta.

Chcę stąd uciec. Chcę pojechać do Baalbek! Anglik pisze, że to zupełnie niedaleko. Wystarczy wsiąść do pociągu i koleją, po torach przywiezionych z Manchesteru, ułożonych przez zawsze tę samą tanią niewolniczą siłę, ruszyć w drogę. Mijać brudnoszare góry i domostwa, które wyglądają, jakby dziecięca ręka rozrzuciła je na zboczach, mijać drzewa, Araba i osła wrośniętego w ziemię...

Chcę zejść do doliny, ukryć się przed tym przeźroczystym, ostrym światłem, w którym wszystkie przedmioty, jakby zyskując największą pełnię i moc, bezlitośnie ze sobą walczą. Wzdłuż porośniętych ciernistymi krzewami nasypów, po przerdzewiałych torach z dumnym manchesterskim znakiem, jadę do Baalbek... I tam, gdzie ametystowe morze spoczywa otoczone żółtym piaskiem, gdzie starożytna Jaffa ciska w niebo strzały swoich minaretów, zobaczę na peronie grupę domorostłych polityków z dziecięcymi wiaderkami w rękach. Dopiero co rozgrzebali piasek i ulepili pierwsze skupiska domów, pospiesznie umacniając je morską wodą, żeby od razu się nie rozsypały. Umyli już swoje krótkie rączki i cierpliwie czekają aż wsiądą do pociągu, aby udać się do Londynu i Wiednia — po nowe wiaderka.

Ostatniego lata, w piątki, po pracy, nie od razu jeździliśmy do Jerozolimy. Krążyliśmy po mieście, po ulicach wziętych do niewoli przez pstrokaty tłum, pośród jednorodnych, kwadratowych, wzniesionych na szybko budynków i wszechobecnego zgiełku ogromnego miasta. Od morza wiał wilgotny wiatr, a chłopak z drącym się magnetofonem pod pachą z zaciekawieniem nam się przyglądał. Robiło się ciemno. I oto już, na znak zbliżającej się soboty, jakiś chaluc w podkoszulku zabierał się do mycia na środ-

ku ulicy Dizengoff swojego zdezelowanego samochodu. Światło rzadkich kawiarni przecinało na ukos chodnik, a nad cukiernią z napisem „Londyn” zapalała się czerwona lampa.

Posiedzmy przy stoliku — maleńkim, jakby dla lalek. Napijemy się czerwonego wina i pod czerwonym księżycem wpiję się w twoje czerwone usta... Czuję w sobie morskie przypiływy i odpływy, morze przyciąga mnie, niepokoi, niewoli. W miejscu, gdzie domorośli politykierzy bawili się w piasku, bierze mnie w swoje wilgotne objęcia. Czuję się, jakby mnie już nie było: przepadłem na zawsze w lśniącej, bezkształtnej otchłani, zwodniczo pięknej, bezdennej, odbierającej rozum...

Wyraźnie nie to, co trzeba, ulepił domorośli politykierzy swoimi tłusciutkimi, sterylnymi palcami. Ich cienie — skupione, nad wyraz poważne — przesuwają się między domami, wznoszą się w górę, uczepiwszy się balonów: takie kupowali w dzieciństwie na ulicach Wiednia. Wsłuchaj się — nad wilgotnym, beztrasko drzemającym Tel Awiwem krąży melodia Brahmsa. Niewiarygodnie przejmująca, rozdzierająca, oplakuje, jak Atlantyde, utracony na zawsze piękny świat. Ponad szarymi bryłkami domów, ponad falusami minaretów i wielopiętrowych hoteli, w powolnym tańcu do muzyki Brahmsa krążą groteskowe pary: kobiety w krynolinach, mężczyźni we frakach, a cesarz dłońmi w białych rękawiczkach, zapamiętałe, przymknąwszy oczy, wybija rytym.

Zbyt długo żyli w Europie, dlatego nie zrozumieli tej ziemi, nie zaakceptowali jej. Przez całe życie starali się odtworzyć ulicę, na której się urodzili, znane skrzyżowanie, kawiarnię... Ale wyszło zupełnie coś innego! I wtedy zaszyli się w swoich cichych pokojach, zaciągnęli story i w świetle zielonych lamp, wśród ciężkich, zakurzonych książek rozwiesili na ścianach wyblakłe fotografie.

Złamali starożytny zakaz — zeszli do doliny. Uznali, że można złąć w jedno ostre, przejrzyste światło nieba, przydające wszelkiemu istnieniu sens i siłę, z lepkiem, odbierającym rozum, wilgotnym, słonym powietrzem wybrzeża. Ich przodkowie, zamknięci, odgrodzeni ścianami gór, żyli w świetle, które wydawało im się nie do zniesienia. W dół mamił ich zakazany owoc, w górę przyciągała świadomość bliskości Nieba.

Tam, w dolinie, pługi statków orały bezkresne wody, wokół grotu włócznie wiła się gałązka winorośli, a na ścianach, wśród sprężystych białych kolumn, ożywał tajemniczo przepiękny, przemijający, nieuchwytny świat. Ale Niebo żądało czegoś innego. I człowiek, posłuszny jego władcemu wezwaniu, wznosił się po kamiennych schodach gór coraz wyżej i wyżej, dopóki nie zniknął w tajemnym świetle.

Nierozumni uczniowie Hegla i Kanta, połączyliście niepołączalne! I oto już morze wrze, nadciąga fala za falą, dosięgając murów Jeruzolimy!

...Dopiję piwo, włożę srebrne krążki monet w szponiastą łapę właściciela kawiarni i pójdę do ciebie uliczką, która wspina się do ulicy Nevi'im. Wejdę na podwórze starego arabskiego domu, odzyskam cię w pokoju wśród starych fotografii i półek z książkami. Podniesiesz twarz i spod cienia zielonej lampy uśmiechniesz się do mnie. „— Posłuchaj — wyszepczę do ciebie — moja dusza miota się, nie znajdując spokoju, między doliną i Niebem, między światłem a ciemnością, to pogrąży się w otchłani, to unosi w górę... Wiesz co? Wyjedźmy stąd, gdzieś daleko. Wyjedźmy do miasta Balbek. Tam kolumny porośnięte trawą, nawet zniszczone, wznoszą się do nieba. A na wzgórzu, w cieniu wiekowych cedrów, przyprawa o zawrót głowy sosnowy, cierpki jak młode wino, zapach ziemi. Mówią, że tam zimą w mroźnym powietrzu zamarza oddech, a ptactwo spada martwe z wysokości... Ucieknijmy tam od odwiecznej walki, śmiertelnego starcia człowieka z samym sobą...”

„Ułożę książki na półkach — odpowiesz mi. — Zgaszę lampę, zamknę drzwi. W dół ulicą Króla Dawida, obok dworca kolejowego, pojedziemy do domu... Biedactwo! Jakże cię to słońce spaliło! Kupię ci krem”.

Przełożyła *Mirosława Michalska-Suchanek*



<https://orcid.org/0000-0001-5262-0816>